Nr. 18. Lwów, 15 września 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Powrót nasz uwieńczyło jeszcze spotkanie stadka *phacocherów* (*Phacochoerus aeliani*), wstrętnie brzydkich dzików afrykańskich. Było ich 5 sztuk — potężny odyniec, maciora i trzy mniejsze. Stały spokojnie, żerując, o jakie 150 kroków; nie podejrzywały widocznie naszej obecności. Zanim jednak zdecydowaliśmy się na strzały, dziki nas zwietrzyły i szybko zniknęły w wysokich trawach. Odyniec w ucieczce wznosi ogon prostopadle.

Ponieważ kilkakrotnie wrócimy jeszcze w toku naszego opowiadania do tej zwierzyny, nie od rzeczy będzie obznajomić z nią czytelników naszych. *Phacocher* posiada łeb monstrualnie brzydki, płaski, z oczami jakby na guzach osadzonemi. Pod oczyma znajdują się wielkie brodawki skórne, zwiększające jeszcze brzydotę tego dzika. Kły wierzchnie są do góry zagięte i dochodzą niekiedy 25 centymetrów długości; dolne — podobne są do kłów naszego dzika i równie jak u niego ostrzą się na górnych. Całe ciało pokryte bardzo rzadką szczeciną, tylko na karku i grzbiecie rośnie długie rudawe pióro, tworzące jakby rodzaj grzywy. Stare odyńce dochodzą wysokości 1 metra 15 cent. w kłębie, co przy potężnych kłach i wrodzonej złośliwości czyni z nich bardzo niebezpiecznych przeciwników. To też krajowcy boją się ich nie mniej, jak lwa lub bawołu. Zwą go po arabsku „sanhir“ lub „haluf“ (świnia).

O godzinie 4-tej po południu wróciliśmy do obozu. Przed wieczorem wyszły na łąkę w znacznej od nas odległości jakieś antylopy, które krajowcy nazywają

„baszmat“. Hrabia podchodził je z Fadilem, lecz zbyt były ostrożne, aby się na pewny strzał zejść dały. W następstwie okazało się, że były to znane antylopy abisyńskie (*Cervicapra bohor*).

Na wieść o naszem przybyciu, zjawiło się w naszym obozie pięciu Arabów z niezbyt odległej wioski Dissy. Wszyscy byli mniej więcej czarni, chociaż rysy ich zdradzały silną domieszkę krwi arabskiej. Dosiadali rącze i kształtne konie, a uzbrojeni byli w długie dzidy i miecze derwiszowskie. Przywódca ich, Mohamed, wysoki i szczupły Arab typu murzyńskiego, oświadczył nam, że wszyscy oni znają doskonale sposoby polowania na słonie i bawoły i wyraził ochotę przewodniczenia nam w wycieczkach na tę niebezpieczną zwierzynę, gwarantując, że nas doprowadzi zarówno do słoni, jak i do bawołów. Hrabia zgodził się na propozycyę i tym sposobem nasza karawana powiększyła się czasowo o pięciu ludzi.

Dnia 19-go lutego wyruszyliśmy z obozu jak zwykle, ze wschodem słońca. Mówiono nam potem, że wkrótce po naszym odjeździe, zanim jeszcze karawana obóz opuściła, dwa lwy rozpoczęły wspaniały koncert na przeciwległym brzegu rzeki.

Siedmiu shikarich, jadących przodem, robili wrażenie małego oddziałku derwiszów; myśmy posuwali się za nimi w zwykłym ordynku. Co chwila spotykaliśmy ślady słoni — olbrzymie kupy pomiotu, drzewa połamane lub pochylone, ścięte gałązki akacyj i t. p. Niedaleko od obozu łowcy wskazali nam stadko arielów. Strzelałem do nich, lecz dla znacznej odległości raniłem tylko jedną sztukę. Nieco dalej Idris zatrzymał znów konia. Tym razem hrabia poszedł próbować szczęścia i ku wielkiej naszej radości zabił wspaniałego „waterbok'a“ (*Kobus defassa*), którego krajowcy zwą „katamburo“. Jest to antylopa wielkości jelenia parkowego, tylko na krótszych nogach. Cała pokryta jest siercią szaro-brunatną, a długość rogów wynosi 30 cali angielskich.

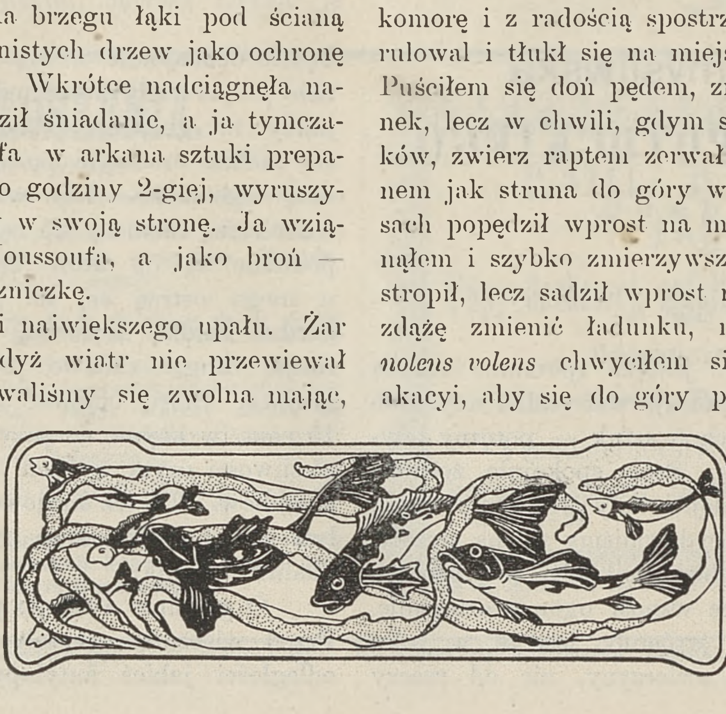
Odciąwszy głowę do spreparowania, ruszyliśmy dalej, gdy część Arabów naszych została na miejscu, aby zabitą sztukę poćwiertować i na wielbłąda ułożyć. Wcześnie, bo o w pół do dziesiątej, przybyliśmy do miejscowości Abkuk, gdzie mieliśmy zamiar zabawić dni parę. Obóz rozbiliśmy na brzegu łąki pod ścianą dżungli, wybierająa kilka cienistych drzew jako ochronę od palących promieni słońca. Wkrótce nadciągnęła nasza karawana. Bohos sporządził śniadanie, a ja tymczasem wtajemniczałem Joussoufa w arkana sztuki preparowania. Po śniadaniu, około godziny 2-giej, wyruszyliśmy na polowanie — każdy w swoją stronę. Ja wziąłem Mohameda, Ibrahima i Joussoufa, a jako broń — mannlichera, śrótówkę i ptaszniczkę.

Wyruszyliśmy w chwili największego upału. Żar był rzeczywiście ogromny, gdyż wiatr nie przewiewał pośród gęstej dżungli. Posuwaliśmy się zwolna mając, wszędzie horyzont ograniczony do 50, a najwyżej do 100 kroków, dzięki dość gęsto rosnącym drzewom i wysokiej, nie wszędzie podeptanej trawie. Przodem szedł Mohamed, niosąc mego mannlichera, za nim ja, z laską w ręku, a dalej Joussouf z Ibrahimem. Uszliśmy tak parę wiorst od obozu, gdy naraz Joussouf chwycił mnie z tyłu za rękę, pokazując coś przed nami. Ledwiem miał czas rzucić okiem w tę stronę, gdy z pod dużego drzewa o 20 kroków przed nami pomknął wielki jakiś drapieżnik, tak prawie duży, jak zabita przez nas lwica — i w jednej chwili zniknął nam w trawach. „Lew“? — zapytałem Mohameda. „Ai-wa“ — odpowiedział.

Nabiwszy śrótówkę, jako jedyną rezerwę 3 zeram i wziąwszy do rąk mannlichera, poszedłem za Mohameidem na trop. Tu jednak okazało się — tak przynajmniej twierdził mój shikari — że była to bardzo duża pantera, a nie lew, jak mi to zrazu oświadczył. Puściliśmy się wolnym krokiem za tropem, lecz pośród gęstej i wysokiej trawy tropienie było niełatwe, a przytem zwierz ustępował widocznie. Po kwandransie śledzenia shikari zgubił tropy; poszliśmy więc dalej szukać szczęścia.

Wkrótce też Mohamed wskazał mi stado pentarek. Nie mając nadziei dnia tego na grubszego zwierza, zdecydowałem się strzelać do nich i już zmieniłem ładunek w śrótówce na Nr. 1, gdy naraz Mohamed szeptem dał mi znać, wskazując jednocześnie ręką przed siebie. Zdziwiony, coby to być mogło, zwróciłem oczy w tym kierunku i spostrzegłem niedalej, jak o 40 kroków, dużego *phacochera*, stojącego w trawach bokiem do nas bez najmniejszych odznak przestrachu. Zmieniłem szybko śrótówkę na mannlichera i wziąłem na cel potwornego dzika; mierząc jednak, czułem, że go biorę na miękkie, a mimo to strzału mego nie skorygowałem. Zdarzało mi się to nieraz w mej karyerze myśliwskiej i nigdy nie umiałem sobie wytłómaczyć psychologicznej przyczyny tych błędów, które jedynie chyba gorączką myśliwską tłómaczyć sobie należy.

Po strzale zwierz pomknął i ja się puściłem za nim, szybko zmieniając w czasie biegu ładunek z magazynu. Dzik migotał mi tylko pośród traw, wstrzymałem więc kroki i strzeliłem powtórnie, lecz i tym razem kula go nie zatrzymała. Biegłem więc za nim, bo czułem, że pierwszą kulę mieć musi napewno; jednocześnie wsunąłem nowy ładunek do lufy, gdy *phacocher* zatrzymał się, stając bokiem do mnie w odległości 60 kroków. Tym razem spokojnie już zmierzyłem na komorę i z radością spostrzegłem, że zwierz w strzale rulował i tłukł się na miejscu w przedśmiertnej agonii. Puściłem się doń pędem, zmieniając jednocześnie ładunek, lecz w chwili, gdym się znajdował o jakie 30 kroków, zwierz raptem zerwał się i z głową zadartą, ogonem jak struna do góry wzniesionym, w szalonych susach popędził wprost na mnie. W mgnieniu oka stanąłem i szybko zmierzywszy — wypaliłem. Dzik ani się stropił, lecz sadził wprost na mnie. Widząc, że już nie zdążę zmienić ładunku, rzuciłem sztucer na ziemię, *nolens volens* chwyciłem się rękoma za niskie gałęzie akacyi, aby się do góry podciągnąć. Toż samo uczynili moi ludzie, którzy biegli za mną w nieznacznej odległości.



Opatrzność jednak uchroniła mnie od tej sromoty, abym polując na tak szlachetną zwierzynę, jak lwy i słonie, miał uciekać na

drzewo przed podłym dzikiem. Rozjuszony *phacocher* gonił już sił ostatkami i padł w odległości sześciu kroków odemnie. Starał się jeszcze podnieść, lecz napróżno.

W jednej chwili Ibrahim wraz z innymi był przy mnie, a szarpiąc mnie za rękę krzyczał: „Strzelaj, strzelaj“! Dałem mu do zrozumienia, że strzał tu całkiem zbyteczny, lecz gdym do dzika chciał podstąpić, Mohamed i Ibrahim schwycili mnie za ręce i nie puścili. Dopiero, gdy zwierz przestał się poruszać, uwolniłem się od nich i zbliżyłem się, żeby zdobycz obejrzeć.

Był to czteroletni odyniec z doskonale rozwiniętymi, dolnymi kłami, które były równie ostre, jak u naszego dzika. Górna jednak para, podkręcona do góry, wyrosła dopiero do połowy na zewnątrz.

Przy egzaminie strzałów okazało się, że pierwsza kula trafiła w miękkie, jak się tego spodziewałem. Drugi strzał, do uciekającego w trawach — chybiłem; trzecią kulę wpakowałem na komorę i ta zadecydowała o losie *phacochera:* czwarta wreszcie, strzelana w szarży, strzaskała przednią nogę powyżej kolanka.

Moi ludzie przystąpili natychmiast do ćwiertowania zabitej sztuki. Skórę starannie obciągnięto, gdyż Arabowie cenią ją bardzo, jako przydatną na różne wyroby, czem się różnią od Somalisów, którzy, jako prawowierni mahometanie, nawet się nie dotykają tego nieczystego zwierzęcia.

Zabraliśmy tylko skórę, łeb — jako trofeum — i obie szynki. Resztę wciągnięto na drzewo — przez psotę, aby lew, czy hyena dostać się doń nie mogły. Natomiast pantera, doskonale łażąca po drzewach, łatwo mogła skorzystać z tej nadspodziewanej śpiżarni.

Była godzina 4-ta, gdyśmy te wszystkie operacye ukończyli, a nie wiedząc dokładnie, jak daleko jesteśmy od obozu, postanowiłem wrócić, żeby przed 6-tą być na miejscu. Jakoż nieco po 5-tej ujrzeliśmy nasz tabor. Hrabiego jeszcze nie było. Wrócił dopiero o zachodzie słońca pod świeżem wrażeniem, jakiego doznał, spotkawszy poraz pierwszy w życiu stado bawołów. Strzelał do nich na jakie 100 kroków, lecz wśród wysokich traw nie mógł odróżnić dokładnie profilów pojedynczych sztuk. Jeden z bawołów uszedł silnie postrzelony. Tropiono go przez 1½ godziny, lecz bez skutku. W Afryce postrzałka trudno dosięgnąć, gdyż wskutek niezwykłego gorąca farba szybko ścina się na skórze i w małej tylko ilości okapuje ziemię. Mimo to hrabia postanowił dnia następnego śledzić jeszcze za postrzelonym bawołem, ze słabą zresztą nadzieją skutku.

Nad ranem d. 20 lutego, obudziwszy się, usłyszeliśmy ryk lwów w pobliżu obozu. Była ich widocznie para w niewielkiej od nas odległości, bo się konie i inne zwierzęta płoszyły, okazując swój przestrach rżeniem, chrapaniem lub rykiem. Przyzwyczajeni już zresztą do tego codziennego prawie koncertu, mało zwracaliśmy na to uwagi. Pierwsze brzaski dnia zastały nas już na nogach, a o wschodzie słońca byliśmy obaj gotowi do wymarszu.

(D. c. n.).

(*Łowiec polski, Sztolcman*).

O broni kulowej.

(Dokończenie).

3) Ciśnienie gazów i tarcie pocisku w lufie jest daleko mniejsze, niżeli przy pociskach płaszczykowych. Materyał tych pocisków jest podatny, nadto pocisk opatrzony jest w pierścienie prowadzące, więc nie całą powierzchnią trze o ściany. Długość zwoju gwintów wynosi 36 cm., podczas gdy w sztućcach do pocisków płaszczykowych 24 cm. lub 25 cm., więc na przestrzeni jednorazowego obrotu pocisku mięszanego, wykonuje pocisk płaszczykowy półtora obrotu. Z wszystkich, wyżej podanych powodów, ciśnienie gazów przy mięszanych pociskach jest mniejsze, gdyż łatwiej się poddają naporowi tychże, aniżeli płaszczykowe. Słabe tarcie miękkich pocisków mało zużywa gwinty i lufy dłużej są zdatne do użytku.

4) Ostrobrzeżne spłaszczenie pocisków ma prócz pożądanego działania na zwierzynę, inne jeszcze zalety. Silnym argumentem przeciwników małych kalibrów jest niebezpieczeństwo, wynikające z dalekonośności tychże.

Otóż pociski o płaskiej głowie nie zbaczają z drogi, napotkawszy gałęzie lub pnie, tylko tną słabsze gałązki i pnie przebijają, a napotkawszy silną zaporę, deformują się i rozpryskują, podczas gdy pociski ekspressa 450 rykoszetują nieraz na ogromne przestrzenie po uderzeniu w ziemię, napotkawszy zaś drzewa, wyłupują drzazgę iześliznąwszy się, w bok pędzą. Gdzież więc niebezpieczeństwo większe?

Pociski mięszane, o mniejszym kalibrze nadają się tylko na kozły i drobniejszą zwierzynę, zaś na grubego zwierza nie wystarczają.

W końcu nadmienię, że amunicya z pociskami mięszanymi jest o 30% tańszą od płaszczykowej.

c) Pociski płaszczykowe i odpowiednia do nich broń.

Tu należy przedewszystkiem nasz Manlicher i niemiecki Mauser*).

Z tych dwóch głównych typów powstało mnóstwo sztućców. Zwoje przy sztućcach dla pocisków płaszczykowych mają bardzo silne skręty (25 cm. — 24 cm.) a ze względu na twardą powłokę pocisków są gwinty niższe, lecz za to szersze.

Działanie tych pocisków jest podobne do działania pocisków mięszanych, lecz ze względu na możność użycia silniejszych zwojów i w ślad za tem większych ładunków, osiągają one jeszcze większą chyżość początkową i płaskość lotu. Zatem działanie ich (naturalnie przy użyciu silnie zbudowanych sztućców) na zwierzynę jeszcze więcej piorunujące, celność strzałów bajeczna.

*) Małokalibrowe pociski płaszczykowe mogą być używane także do büchsflint i dryllingów, ale w formie nieco skróconej i z mniejszym ładunkiem prochu.

Cesarz Wilhelm II. strzela jelenie, w Schorfheide i Rominten, ze sztućców 8 mm. i 6 mm.*) Działanie tych pocisków jest tak gwałtownem, że nawet najsilniejsze jelenie, chociażby niekorzystnie trafione, nie daleko idą. Wylot zwykle silnie broczy, zwłaszcza jeżeli pocisk kości dotknął.

Po strzale mija czasem kilka sekund, nim zwierzyna zaznaczy, a wygląda to, jak gdyby została prądem elektrycznym rażoną.

Płaskość lotu jest tak wielką, że do 250 kroków z tym samym nasadem strzelać można, (ze sztućca 6 mm. do 400 kroków, tylko nieco wyżej w zwierza mierzyć trzeba). Cesarz niemiecki, będąc na polowaniu w Szwecyi, strzelał do kozłów, przy silnym wietrze na odległość do dwustu kroków, a na 68 strzałów położył 62 kozły i lisa.

Jest to na każdy sposób nader pochlebnem dla strzelca, ale i broni świetne daje świadectwo.

Przy użyciu lunety podnosi się jeszcze celność strzałów, tak, że można na pewne strzelać do zwierzyny stojącej w gąszczu, którąby gołem okiem zaledwie rozpoznać było można.

Sztuciec małokalibrowy z płaszczykowym pociskiem jest bronią idealną, zwłaszcza w górach i stepach, gdzie myśliwy zmuszony jest często strzelać na wielkie odległości, zaś na równinach, trzeba być w użyciu tegoż bardzo ostrożnym.

*) Do kalibru 6 mm. sporządzane są dla cesarza Wilhelma II. naboje o 2·55 gr. prochu bezdymnego. Naboje te stanowią sekret i prócz cesarza nikt ich dostać nie może.

Ogólne uwagi o małych kalibrach.

Jak już w pobieżnym przeglądzie w Nrze 8 wspomniałem, toczyła się do niedawna w Niemczech żwawa walka pro i contra małym kalibrom. Prawie każdy zeszyt niemieckich pism łowieckich, zawiera artykuł na ten temat. Głosy pro już stanowczo zwyciężyły, tylko tu i ówdzie odezwie się jakiś antimałokalibrzysta ze starej gwardyi.

Jeden z przeciwników przytacza przeciw nim, że przez ich dalekonośność traci polowanie wiele ze swej poezyi. Dawniej myśliwy musiał studyować zwyczaje zwierzyny i zwolna się zaprawiać, ażeby zwierzynę na strzał podejść, a dziś powiada: pierwszy lepszy mieszczuch bierze broń kilometrową i z łatwością morduje zwierzynę, gdyż nie potrzebuje żadnej wprawy w podchodzeniu tejże, a często zwierzynę kaleczy. Pan ten przepowiada prędkie wyniszczenie zwierzyny.

Widać z całego tonu artykułu, że był pisany pod wrażeniem niemiłego wypadku. Odzywa się w nim wielkie zamiłowanie łowiectwa i szlachetne, poetyczne pojmowanie tegoż, ale praktycznego znaczenia wywody przeciw małym kalibrom nie mają.

Broń temu nie winna, że ręce niepowołanych i nieudolnych, źle jej używają. Zwierzyna zaś nie wyginie, gdyż jest faktem dawno zauważonym, że zwierzyna zagrożona bronią postępową, wnet się oryentuje i na dalsze odległości pomyka. Zresztą te same argumenty wytaczano przeciwko ekspressom, a teraz powszechnie ich używaią.

W rozpatrywaniu kwestyi kalibrowej wychodzi wielu z fałszywego punktu zapatrywania i tak powinno się rozróżnić: 1) rodzaj polowania (podchodzenia zasiadką i z nagonką) i ukształtowanie się terenu (góry, las, kultywowana lub też niekultywowana płaszczyzna).

2) osobę używającą broni, względnie użytek, jaki ta osoba z niej robi.

Przeciwnicy małych kalibrów, występując przeciwko tymże, jednym tchem mówią o równinach, na których ludzie przy pracy zajęci, lub też o polowaniach z nagonką.

Biorąc pod uwagę małe kalibry, trzeba również rozróżniać, czy to są sztućce o lufach stałych, czy też drylingi, lub też büchsflinty. Sztućców można używać w górach i stepach, zaś pociski z drylingów i büchsflint wcale nie są od espressów niebezpieczniejsze, jak to już przy pociskach mięszanych nadmieniłem. Bezwątpienia może być sztuciec dalekonośny, a zwłaszcza magazynowy, z łatwością użyty do zdziesiątkowania lub wytępienia zwierzyny. Ale taki strzelacz zawsze znajdzie sposób do wytępienia zwierzyny, czego najlepszym dowodem polowanie chłopskie, no — i inne...

Nie broń postępowa niszczy zwierzynę, ale zła gospodarka, brak dozoru i opieki.

Jak już raz wspomniałem, niemiłe wypadki zdarzają się przy używaniu pocisków 2/3 płaszczykowych, zaś przy 4/5 płaszczykowych i t. d. mogłoby się to zdarzyć przez wadliwość samego pocisku (zardzewienie, lub piasek na powłoce pocisku).

Częstemi są skargi na rdzewienie luf, przy użyciu bezdymnego prochu.

Radykalnie można temu zapobiedz w sposób, podany w artykule, tłumaczonym przezemnie, umieszczonym w N-rze 15 „*Łowca*“, lub przez używanie „Mars öl“.

Ciekawą pod tym względem wzmiankę spotkałem w opisie polowań, jednego z magnatów niemieckich na kozice.

Otóż polował on przez ośm dni, podczas którego to czasu deszcze często padały, a nie mając potrzebnych do czyszczenia przyborów, tak sobie radził. Po powrocie z polowania przywiązywał kawałek waty na sznureczek, maczał ją w „Mars öl“ i przeciągał nią kilkakrotnie wnętrze lufy, również po wierzchu natłuszczał sztuciec wspomnianym olejem, po poprzedniem osuszeniu. Po powrocie z tej wycieczki kazał sztuciec dokładnie oczyścić i ani plamka rdzy się nie pokazała.

Mówiąc już o małych kalibrach, muszę zrobić wzmiankę o materyałach, odpowiednich do wyrobu luf, przeznaczonych dla tychże.

Lufy dziwirowe nie nadają się do ekspressów małokalibrowych. Tylko przez użycie luf stalowych i bezdymnego prochu można osiągnąć wszystkie zalety małych kalibrów.

Jest już wiele rodzajów stali w użyciu, do wyrobu ekspressów małokalibrowych, ale nad wszystkimi góruje stal Kruppa, specyalnie przez nadzwyczajną swą elastyczność.

W Anglii robiono próby porównawcze dwóch najlepszych gatunków stali angielskiej i stali Krupa i osiągnięto następujące wyniki.

Lufy ze stali angielskiej doznały rozszerzenia w trzech miejscach, przy użyciu 12·96 gr. prochu t. j. wskutek nadmiernego ładunku prochu zmieniły pierwotne wymiary; podczas gdy lufy Krupowskie dopiero przy użyciu 19·44 gr. doznały rozszerzenia o 0·0762 mm.

Po tym rezultacie chciano rozerwać lufy Krupowskie i nabito je 32·4 gramami prochu i jak przy poprzednich próbach, kulą o 113·5 gr. Jednakże lufa mało ucierpiała, gdyż ukazały się dwa rozszerzenia o 0·0254 mm. w pobliżu komory. Natomiast strzał ten narobił tyle szkody (w pobliżu wyleciały wszystkie szyby, jakkolwiek z grubego szkła i podstawa instrumentu została uszkodzoną), że dalszych prób zaniechano.

Jak małe kalibry, tak i lufy stalowe spotykają się z niedowierzaniem i opozycyą — ot! jak każda nowość.

Myśliwy używający sztuców małokalibrowych musi dobrze wiedzieć, co w naboju siedzi, gdyż działanie rozmaitych prochów bezdymnych, jest tak różne, że nieświadomość pod tym względem może się stać zgubną dla broni i dla strzelającego. Jeżeli kto sam naboje sporządza, nie powinien bezdymnego prochu miarką mierzyć, tylko na czułej wadze, gdyż dziesiąte grama mają tu poważne znaczenie.

Na zakończenie możnaby powiedzieć „na cóż używać wielkich kalibrów, skoro małe wystarczą a przytem płaskość lotu i celność jest większą, zaś uderzenie wsteczne i huk mniejszy“?

Najkardynalniejszego powodu opozycyi przeciw małym kalibrom należy szukać w rozrzewniającej zasadzie: „jak mij tato robyw; tak i ja budu“.

Przy użyciu prochu bezdymnego tę jeszcze osiąga się korzyść, że zwierzyna nie widząc dymu, nie wie skąd niebezpieczeństwo grozi, często się waha, którędy zmykać i daje myśliwemu czas do poprawienia, lub dublety. Powyższa okoliczność nabiera znaczenia najpoważniejszego przy polowaniu na lwy, słonie, nosorożce i t. d. i niejeden myśliwy życie jej zawdzięcza, o czem nieraz wspominą de Foa w opisach swej wyprawy myśliwskiej do Afryki. *M. R.*

Ochrona i rozmnażanie zwierzyny

napisał

A. hr. SUMIŃSKI

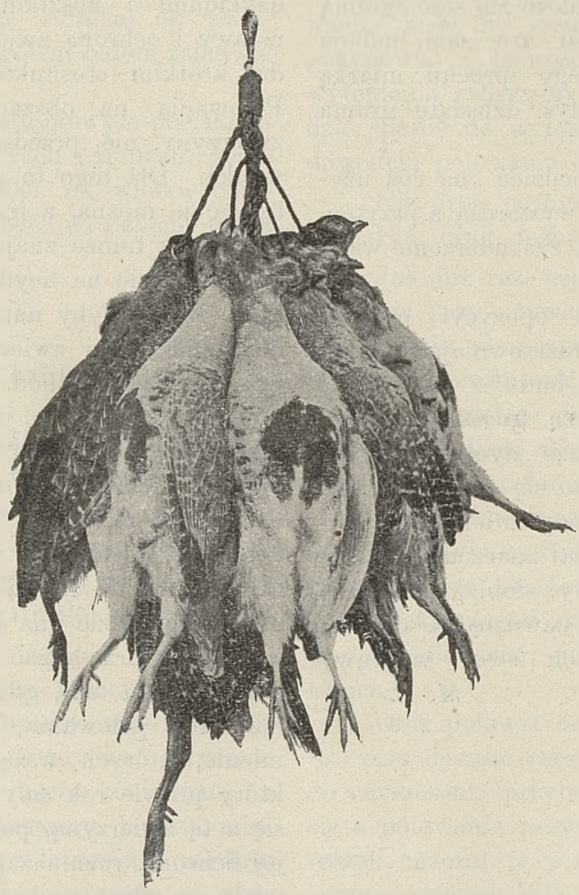
WSTĘP.

Wiadomą jest rzeczą, jaką przyjemność daje nam zwierzyna, gdy na nią polujemy. Polowanie nie tylko jest rozrywką; ćwiczenie członków, ćwiczenie zręczności, zdrowy ruch na świeżem powietrzu hartuje, oddziaływa dodatnio na ustrój człowieka, a przy tem obserwacya natury poucza i zapoznaje nas z przyrodą i jej cudami, często zagadkami. Lecz i drugą jeszcze ma zaletę ta zwierzyna. Oto może stać się przedmiotem handlu, a więc źródłem dochodu i to wcale nie do pogardzenia. Na to musi jej być dużo, co osiągamy za pomocą ochrony i rozmnażania. Pomijając to, że w kraju pozbyć ją można, jako artykuł spożywczy, może się też stać przedmiotem eksportu za granicę. Nie wszystkie kraje posiadają zwierzynę, a smaczne jej mięso wszędzie chętnie jedzą. Są takie kraje, które mają zwierzyny mało, w innych brak jej prawie zupełnie, dzięki wadliwej ustawie ochrony, lub klimatowi nieodpowiedniemu. Paryż n. p. stolica Francyi, sprowadza zwierzyny za przeszło milion franków z za granicy, płacąc bardzo dobrze. W obec dalej coraz trudniejszych warunków gospodarstwa wiejskiego, wszelkie dochody poboczne tej wsi są prawdziwie pożądanem dobrodziejstwem dla rolnika, a do takich należy i zwierzyna. Dla tego to usilnie starać się należy o podniesienie zwierzostanu, który małymi nakładami i kosztami, głównie zaś przestrzeganiem ustawy i ochroną zwierzyny doprowadzić można w bardzo krótkim stosunkowo czasie do kwitnącego stanu. Polowania na obszarach gminnych, gdzie mało jest zwierzyny, nie przedstawiają żadnej wartości, lub nie wielką. Dla tego to na licytacyach za niskie ceny nabywać je można, a inaczejby to było zupełnie, gdyby zwierzyny tamże znajdowało się dużo, bo wtedy ludzie ściągaliby się na licytacye z daleka i płacili sumy duże, które wpływałyby naturalnie do kas gminnych. Sprzedaż upolowanej zwierzyny pokrywałaby koszta, dając przyjemność i dochód. Szkoda, którą zwierzyna robi jest mniejsza, niż sobie ją zwykle wyobrażamy. Wieleż to sarn, zajęcy, bażantów i kuropatw widzi się n. p. na Śląsku. Podczas polowań rok rocznie pada ich tysiące, a mimo to zwierzyna jest w cenie, polowania również, a szkody stosunkowo małe i ludność ma się doskonale. Odszkodowania za zwierzynę płacą właściciele polowania i tam, gdzie ona jest, słusznie się należy. Nie godzi się jednak przesadzać z tą szkodą i wymagać wysokich odszkodowań tam, gdzie szkody nie ma, bo to odstrasza amatorów polowania, sprowadza niesnaski i nieporozumienia, których wszędzie unikać należy. Włościanin, który prawie rok cały w polu i dlatego najwięcej styka się z tą zwierzyną, powinien w własnym interesie dać jej ochronę, rozmnażając ją już przez to wszakże to woda na własny młyn.

Ochrona.

Dla ochrony zwierzyny ustanowiono czas szanowania, który dla każdego gatunku zwierzyny jest dłuższy, lub krótszy, stosownie do obyczajów, lęgu i t. p. W czasie tym prawo nie pozwala polować ani łapać zwierzyny, daje jej odpoczynek i spokój, który się też jej należy. Zwyczajnie jest to część zimy, wiosna i początek lata. Ostra zima i mokra wiosna dziesiątkują zwierzynę. Jestto więc czas najgorszy dla niej. Zimno, pasza skąpa, często głód, zmiana sierci i pierza z wiosną, a z tego powodu osłabienie. Najważniejszą więc rzeczą żywienie i spokój. Gdy ją dobrze przezimujemy t. z. pomożemy jej opieką i ochroną, mamy zapewnioną przyszłość, w przeciwnym razie zagładę. Niepokój zaś

największy ma zwierzyna, gdy jest płoszona i goniona przez psy i koty. Pies taki włóczęga goni, nie rzadko w wielkim śniegu złapie i rozszarpie, albo tak zmęczy zwierza, że tenże dostaje zapalenia i pada, lub choruje. Gdy się takie psie polowania powtarzają, zwierz opuszcza okolicę, odchodząc w strony spokojne i nie powraca. Również koty włóczęgi na wiosnę wielką szkodę robią, bo tak młody zając, jak kuropatwa są jego ofiarami. A taki kot, który raz zasmakował zwierzyny, dziczeje, gardzi myszą i poluje ciągle. Psa uwiązać na łańcuchu, kota trzymać w domu, jeden ma być stróżem, drugi tępić myszy w domu, a jeżeli się włóczą, zaniedbują oba swoje obowiązki, a gdy je strzelec napotka, pozabija je słusznie, dbając o swoją zwierzynę. Nieprzyjaciele dalsi zwierzyny, to wszystkie zwierzęta i ptaki drapieżne. Ryś, wilk, lis, borsuk, żbik, kuna, tchórz, łasica, gronostaj i skrzydlate: orły, jastrzębie, sowy, kruki, wrony, sroki i bocian. Zima jest najodpowiedniejszą porą prześladowania drapieżców, jak to powiadają, ogniem i mieczem. A więc polować na nie, strzelać, łapać na żelaza i łapki, zastawiane na płajach. Płaje to drogi, któremi chodzą. Ryś już dziś jest rzadkością, w górach tylko przebywa, a wilk w wielkich tylko lasach przesiaduje, za to lisa, borsuka i wszystkie gatunki łasic wszędzie spotykać można u nas. Borsuk młode zające i gniazda niszczy, równie, jak lis, a fałszywe jest mniemanie, jakoby tylko roślinami żył. Orły i jastrzębie przeważnie należą do szkodników, z wyjątkiem kilku zaledwie gatunków, jak myszołów i niektóre małe odmiany sokoła. Tych małych sokolików nie należy brać za krogulca, którego po locie i długim ogonie łatwo poznać, a szkodnik to nie lada. Sowy żyjące w lesie przeważnie są szkodnikami, domowe zaś pójdźki i płomykówki są pożyteczne, te zatem ochraniać należy. Wielkie szkodniki, to kruki, a nie ustępuje im zupełnie wrona i sroka, tak mało u nas tępiona. Te ostatnie gnieżdżą się często we wsi, na wyższych wierzbach i topolach, a nie tylko tępią gniazda śpiewaków pożytecznych i zwierzynę, ale w drobiu szkodę robią, porywając gdzie mogą, kurczęta i kaczaki, gdyż bezczelnością i śmiałem złodziejstwem przewyższają innych szkodników. Sroki polując na kuropatwy, lub zające tyle hałasu krzykiem robią, że zwabiają wrony, które silniejsze, pomoc skuteczną dają, dzielą się łupem, lub nawet odpędziwszy sroki pożerają go same. Je to tępić a gniazda pilnie psuć należy. Nie do uwierzenia to, jaki procent zwierzyny ginie pod ich dziobami. Wreszcie jeszcze jeden jest szkodnik skrzydlaty, a to bocian, który w Polsce pod osobnemi stoi prawami nietykalności bez przyczyny i powodu. Poczciwy zwiastun wiosny, ten niby niewinny, jakby uświęcony ptak, który poważnie kroczy po łąkach i polach a niby żabkami i gadami żyje, jest wielkim amatorem zwierzyny. Powiadają, że lew w ciepłych krajach jest tak długo nieszkodliwy dla człowieka, aż go nie skosztuje. Unika go więc, lecz biada, gdy zasmakuje w nim raz, wtedy poluje on z upodobaniem na ludzi. Podobnie i bocian za zwierzyną, gdy raz uda mu się na poszukiwaniach za żabami napotkać gniazdo kuropatwie, wypija jaja, a młode ze stada wybierze co do nogi. Nie daruje on też młodemu zajączkowi i takiego bociana częściej widać w polach jak na łąkach. Szczególniej w porze, gdy młode wychowuje, znosi im skrzętnie zwierzynę. Dlatego czas już, aby tego starego zabobonu o bocianie zaniechać i również tępić go, jak w innych krajach cywilizowanych.



Ażeby chronić, strzedz i pilnować zwierzyny, mamy straż leśną, strzelców, gajowych. Ludzie ci powinni być obrotni, odważni, trzeźwi i koniecznie zamiłowani w swoim zawodzie. Że zadanie ich często jest niełatwe, rzeczą to wiadomą, bo nieraz z narażeniem własnego życia spełniają swoje obowiązki. Im to włościanie bardzo pomocni być mogą, już to objaśnieniami, tyczącemi się zwierzyny, już to nie robiąc im na przekór, ba nawet pomocą w dochodzeniach przekroczeń ludzi niepowołanych do polowania, tak zwanych kłusowników, wrogów największych zwierzyny. Wszakże ci strzelcy rekrutują się z włościan, a zatem wszelka pomoc im dana jest dobry uczynek dla swego, przeciwko komu? Przeciwko kłusownikowi, co strzela nieprawnie, lub łapie na druty, jest zatem złodziejem, czasem nawet zbrodniarzem, a takim człowiek porządny, uczciwy brzydzi się i czynów jego chyba pochwalać nie może! Strzelcy powinni mieć strzałowe tak za szkodników przez siebie ubitych, jak za zwierzynę pożyteczną, upolowaną przez właściciela polowania, lub jego gości i premie za chwytanie kłusowników i łapiących na druty. To jest ich praca, ich staranie, ich żniwo, więc się im też należy. Co do łapania na druty, jest to nie tylko złodziejstwem, zabronionem ustawą, ale i brakiem uczucia ludzkości, gdyż zwierzę złapane w sidła, męczy się strasznie i cierpi katusze nie do opisania. To też łapanie na druty uprawiają tylko ludzie ostatni, wyrzutki społeczeństwa, a gospodarz, który się szanuje, brzydzi się takim człowiekiem.

Do ochrony zwierzyny należą budki do karmienia jej zimową porą, o których obszerniej w następnym

rozdziale, a prócz tego robienie dróg w lesie, w razie wielkich śniegów i zasp. Wtedy bowiem zwierzyna poruszać się nie może i część ginie z głodu, część marznie. Gdy dlatego przejedziemy pługiem od śniegu przez las, wnet przekonamy się, że zwierzyna tylko tych dróg się trzyma i na nich porusza.

Przestrzeganie ustawy w czasie szanowania nie tylko tyczy się polowania, lecz przez to rozumie się także ochrona gniazd i spokój dla ptaków, wysiadujących jaja. Wiosna i początek lata to okres paszenia i gnieżdżenia. Młode sarny i zające często teraz zdybać można w polu, lecz nie należy ich ani gonić, jak się to często dzieje, ani łapać. Nie potrzeba zupełnie o nie się troszczyć, matki przyjdą do nich w swoim czasie. Pan Bóg tak wszystko pięknie urządził w tej naturze, że człowiek zupełnie wtrącać się do tego niepotrzebuje, bo tylko zaszkodzić może. Przy takiem gonieniu młodych zwierząt, nabawiają się one zapaleń i zdychają, a potem są to tak delikatne istotki, że niezgrabne uchwycenie, lub podniesienie z ziemi, czyni je kalekami na zawsze, często niezdatnemi do chowu, a później do rozpłodu.

Pasterze i dzieci, już to z psoty, już to bezwiednie najwięcej tu grzeszą, obowiązkiem to więc starszych, pouczyć ich i zabronić tej szkodliwej swawoli. Również gniazdami o tyle opiekować się trzeba, aby odkrywszy przypadkiem gniazdo nie spędzać z niego starej, ani niepokoić i unikać tego miejsca, przechodząc jak najrzadziej lub wcale, gdy trzeba ostrożnie, aby nie przeszkodzić prawidłowemu wylęgnięciu.

Podczas kośby siana, koniczyny i zbóż, nieraz znajduje się gniazda. Wykaszając do koła koniczynę n. p. zostawić można kępkę, w której się gniazdo ukrywa, a po wylęgnięciu dopiero, wyciąć kępkę zostawioną. Często i to się zdarza, że matka dbała o swoje przyszłe pisklęta, tak siedzi twardo na jajach, że jej kosiarz nie spostrzeże i głowę obetnie. Jaja należy natychmiast, aby się nie zaziębiły, ostrożnie zaniósłszy do domu, podłożyć pod kurę, lub indyczkę. Wszak zniszczenie takiego gniazda, to już uszczerbek dla zwierzostanu. Ochrona z bronią w ręku, również da się zastosować odpowiednio. Strzelać należy w miarę, aby pewien procent został na przyszłość. Powinno się z góry przed polowaniem przeznaczyć ilość zwierzyny, jaką zabić można, licząc się z rokiem, jaki ten był dla niej, naradzając się ze strażą łowiecką, która obserwuje przez rok cały i wiedzieć powinna o stanie zwierzostanu. W latach bardzo złych nie polować wcale, w miernych miernie. Przy strzelaniu nie strzelać nigdy w gromadę, tylko do sztuk pojedynczych, a to z tego powodu, że przy takiem strzelaniu kaleczy się dużo, ta zaś skaleczona zwierzyna pójdzie gdzieś daleko i zdechnie niepodniesiona. Podczas polowań z naganką, nauczyć ludzi, aby kijami zwierzyny nie bili. Raz, że sarny tak pobite często zdychają, lub jako kaleki nędzny żywot wiodą, kozy kotne porzucają, co również tyczy się zajęcy, a potem, że jest to nieludzkość. Na zabijanie zwierzyny jest broń a nie kije.

Rozmnażanie zwierzyny.

Pisząc o ochronie i rozmnożeniu zwierzyny, mam na myśli tylko zwierzynę pożyteczną, przebywającą stale u nas, a do tej zaliczam: jelenia, sarnę, zająca, cietrzwia głuszcza, jarząbka, kuropatwę, bażanta i kaczkę. Jeleń miejscami tylko u nas przebywa. Potężny ten zwierz znajduje się tylko w ogromnych obszarach, przeważnie w górach, dokąd go kultura i brak dużych lasów zapędziły. Opieka nad jeleniem dzikim w tych obszarach mało dostępnych i ogromnych jest zbyteczną, ogranicza się do tępienia jego wrogów rysia i wilka, a wszelka inna wiedza na tem polu wychodzi z ram tej rozprawki. To ostatnie tyczy się również jelenia, lub daniela w ogrodzeniu. Co się tyczy głuszcza, to prawie wszystko co o cietrzewiu tu powiem i do niego zastosować można. Głuszec pierwotnie ptak płaszczyzny, płochy i ostrożny również w góry się przeniósł, wypędzony postępem cywilizacyi, w płaszczyznie rzadkim jest tu i ówdzie; w lasach ogromnych Wołynia i Litwy spotkać go jeszcze można obficie, choć to płaszczyzna, ale obszary są bardzo wielkie, leśne i mało dostępne dla kultury. Królik, którego mięso jest jadalne, szkodnik to tak wielki, że gdzie jest, tępić go należy, a kto go nie ma, cieszyć się z tego może.

Jest jeszcze cały szereg ptaków przelotnych, jak słonka, ptaki błotne i wodne, do których i niektóre odmiany kaczki należą. Szczegółowo nimi zajmować się nie będę, nadmieniając tylko, że i one mają swój czas szanowania, a że i im w tym czasie opieka się należy, to jasne. Choć to tylko u nas goście, polować na nie w czasie pozwolonym należy również w miarę, a nie tępić co do nogi. Raz, że goście, a miło, gdy powrócą, powtóre, że podróż one mają przed sobą nie lada i to przez morze, gdzie dużo ich ginie.

1. Sarna.

Żyje przeważnie w lesie, choć w niektórych są okolicach, tak zwane sarny polne, które stale w polu przebywają. Sarna lubi spokój, nie żywiona zimą wychodzi na oziminę, nie szkodzi jej jednak zbytecznie i owszem, gdy ozimina za gęsta, dobrze jest, gdy sarny się na niej pasą. Szkodę robią, gdy stan ich bardzo wielki, w zagajnikach młodych przez ogryzanie wierzchołków i pędów, dalej w lecie zjadają grochy t. z. piechociarz, sadzony w kartoflach, który bardzo lubią i koniczynę. W tym celu aby je odstraszyć od takich miejsc, ustawia się strachy. Zmieniać je jednak trzeba co pewien czas, gdyż każda zwierzyna do stracha, cicho stojącego szybko się przyzwyczaja. Strachy ze skrawków kolorowego i białego płótna, które wiatr porusza, są najodpowiedniejsze. Inny sposób, to strzelanie ślepymi nabojami. Szkodom robionym w lesie zapobiega się, już to przez zadawanie paszy takiej, którą sarny lubią, już to przez ogradzanie nie wielkich przestrzeni, a nareszcie przez smarowanie pędów, chemicznie przyrządzonemi mięszaninami (krew, soda i smoła), także specyalnymi na ten cel preparatami, jak pomolina, antinonina, nawet wasselina. Smarowanie wapnem jest dobre, lecz nie trwałe. Sarny potrzebują spokoju w kniei. Wielkie hałasy, ruch i t. p. wypędzają je do sąsiada. Ważny warunek egzystencyi dla sarn, to woda. Zima, to najcięższy dla nich czas, bo gdy śniegi wielkie spadną, trudno sarnom się poruszać i często marzną z braku ruchu. Dlatego kto dba o sarny, przejeżdża po lesie pługiem śniegowym

a przekonać się może naocznie, jakie im dobrodziejstwo robi, jak sarny na tych drogach będą się wciąż trzymały. Ścinanie cienkich osik, wierzb, jodełek, również jest dobrodziejstwem pożądanem. A w budkach umyślnie dla paszy zrobionych, poddaje im się dobre siano, koniczynę, buraki, snopki owsa nieomłóconego, marchew, kartofle, kukurydzę, żołądź, bukiew i t. p. Budki te dlatego są potrzebne, aby śnieg nie przysypał, lub deszcz nie zmoczył im strawy. Wtedy bowiem następuje zatęchnienie pożywienia a wskutek tego czerwonka, która dużo ofiar zabiera. Próbowano z dobrym skutkiem poddawania odpadków z cukrowni (skrawki). Jestto i tanie i w stanie zakwaszonym nie tylko zwabia silnym odorem sarny z daleka, ale i bardzo jest przez nie lubiane. Gdy mróz zetnie takie skrawki, rozbija się je motyką. Na głowę liczy się przez zimę 50 kg. skrawków. Sarny nadzwyczaj są ciekawe i próbują wszystkiego, często kilka dni nie ruszają niezwyczajnej paszy, a potem skosztowawszy, chciwie ją zajadają. Pasza sucha jest niedobra, dlatego brak wody zwyczajnie zimową porą, sokami z paszy mokrej zastępujemy. Zadawanie paszy jak najwcześniej zacząć należy, ociąganie się, że jeszcze zwierzyna ma czem żyć w lesie, zwykle jest szkodliwe z tego powodu, bo już wygłodzona i wycieńczona, nieprzyzwyczajona do paszy w budkach, ginie, dzięki niezapobiegliwości. Wcześnie należy zadawać paszę, niech ta zwierzyna wie, gdzie jej szukać, gdy bieda nawiedzi. Budka do paszy tak mniej więcej ma wyglądać. Dach ze słomy, lub papy albo i gontów na czterech słupkach, nakrywa się gałęziami sosnowemi, lub świerkowemi. Długość 2 m., szerokość mniej więcej 60 cm., wysokość od ziemi do dachu 1·5 m., od ziemi do szczytu 2·4 m. Zamiast podłogi, na poddaszu znajduje się drabina a w szczycie są drzwi, któremi wsuwa się paszę tak, że spada ona, jak długo jest, przez tę drabinę do drabinek, z których jedzą sarny, a które umieszczone są tuż pod drabiną (podłoga strychu). Szczeble tych drabinek oddalone od siebie na 12 do 15 cm. Dach nieco wystaje nad drabinki, aby na jedzące sarny nie kapało. Gdzie właściciel polowania nie chce wydatków na budkę, tam wiąże się paszę do drzew iglastych, dobrze rozgałęzionych, zastępujących dachy. Śnieg jednakże przysypie wkrótce taką paszę, a budki raz postawione stoją lata. Oszczędność i praktyczność połączone tu ze sobą. Znakomita także pasza to pędy i to dębiny, topoli, osiki i iwy, nawet wierzby, obcinane w czerwcu, suszone w cieniu, a następnie wiązane w snopeczki, które zimą zarzuca im się do drabiny. Teoretycznie liczy się 5 do 10 sztuk na 100—200 morgów, a 10 do 20 na tenże obszar, gdy o nich pamiętać, jeszcze szkody nie robi. Brzegi lasów i zakładanych zagajników, jako i nieużytki, obsiewać należy łubinem, albo innemi, sarnom ulubionemi ziołami, lub krzewami jak n. p. Żarnowiec, złotokap szczodrzeniec, bulwa a także jemioła, jarząb i grab. Wydatek na nie jednorazowy, bo zbierając nasienie ma się je na zawsze. Dalszy współczynnik, przyczyniający się do dobrobytu sarniego, to lizawki. Zakładając lizawkę, wybiera się miejsce spokojne, w bliskości wody. Składa się ona ze soli z domieszką wapna i gliny, a to nietylko sarnom zdrowe, ale i potrzebne do budowy kości, rogaczom do rogów t. z. parostków. Dlatego to ogryzają one liście, pędy, pączki i korę dębową, szukając tej tam zawartej soli i wapna. Można i paszę solą przysypywać, a wapno w lizawkach poddawać. Lizawki można obsiewać lucerną do koła, aby nęcić do nich sarny. W niektórych okolicach sarny nie ruszają lizawki, czy to niepotrzebując soli, czy też nie znając jej. Budowa lizawki tak wygląda. Rama z czterech dylów dębowych, lub sosnowych, 20 cm. wysokości, 60 cm. w kwadrat, kładzie się na ziemię. Następnie umieszcza się glinę tłustą bez kamieni i piasku, bo tego sarna nie lubi, a domięszawszy 25 do 30% soli, ubija tę masę w ramę, i to tak, aby na środku górka sterczała. (Takiż procent wapna, wymięszany z solą). Dla odświeżenia polewa się to słoną wodą. Wszelkie przymieszki anyżu, lub kminku są niepotrzebne. Przez odstrzeliwanie rogaczy również rozmnażamy sarny, a to w ten sposób, że stare rogacze niezgodne wypędzają młodsze, gdy się więc stare odstrzeli, młodsze nie wędrują, lecz zostają, Naturalnie, że wszystkich starych wystrzeliwać nie należy, bo te są najlepsze na rozpłodowców, bo najokazalsze. Reguluje się zaś zwierzostan przez odstrzeliwanie w stosunku do potrzeby tyle starych, tyle średnich i tyle młodych, aby sarny nie degenerowały i nie karłowaciały. Że znajomość stanu sarn w tym wypadku potrzebna, łatwo się domyśleć.

Choroby nieraz dziesiątkują zwierzostany, a lekarstwa na to nie ma. W każdym jednak razie dobrze jest padłe sztuki zakopywać, aby się zaraza nie szerzyła.

Że rogacze nie tylko dają nam przyjemność, lecz ładny nawet dochód, na to przytoczę przykład z pewnego rewiru, gdzie nieraz polowałem. Ponieważ rogacze galicyjskie słyną z wielkości i pięknych rogów (parostków), rokrocznie zwabiają do kraju cudzoziemców, którzy nabywają prawo odstrzelenia i zabierają rogi za pieniądze. I tak właśnie w tym lesie się dzieje, że właściciel niemyśliwy sprzedaje 30 rogaczy po 60 koron za co osiąga kwotę 1800 kor., zostaje zaś mięso, za które otrzymuje 600 kor., czyli razem 30 rogaczy przynosi mu 2400 kor. W postępowych gospodarstwach myśliwskich nie strzela się do rogacza inaczej, jak kulą, raz, że strzał ten trudniejszy i ładniejszy. powtóre sposób polowania na podchodne, lub podjazd bardzo jest powabny, a po trzecie poluje się na rogacza tylko, gdy ma rogi. Ma to te dobry strony, że kaleczenie rzadko się zdarza, wyjątkowo, a strzelając śrótem, który, jak wiadomo rozrzuca, nietylko rogacza, ale i kozę postrzelić można niechcący i każdy dalszy strzał jest niepewny, naraża na postrzelenie, dalej wybierać można według upodobania lub potrzeby rogacza, a nareszcie ten rogacz spokój ma choć w zimie, gdzie się już na niego nie poluje wcale.

2. Zając.

Rozpowszechniony on prawie wszędzie, woli płaszczyznę od gór, łatwo się aklimatyzuje, znosi osry nawet klimat, ale sprzyja mu łagodniejszy i ziemia ciepła. Lubi kulturę. Ziemia dobrze uprawiona, szczególniej, gdzie uprawa buraków cukrowych, duże łany, w ogóle ziemia z przymieszką piasku, oto raj dla zająca. Nie szczególnie się udaje w klimacie ostrym, gdy jeszcze ziemia zimna, nieprzepuszczalna i iły. Zacząwszy od człowieka, każdy zwierz drapieżny od rysia do najmniejszej łasiczki, każdy ptak drapieżny, wrona, sroka, wszystko poluje na zająca. Mimo tego dzięki płodności, bo w ciepłych miesiącach od lutego

począwszy, co miesiąc ma młode do późnej jesieni, zając nawet w okolicach, gdzie mniej szanowany utrzymuje się choć w szczupłej liczbie. Ażeby go rozmnożyć, trzeba w pierwszym rzędzie tępić drapieżców czworonożnych i skrzydlatych, w zimie karmić w budkach podobnych jak dla sarn, tylko znacznie niższych bez drabin, byle dach dał ochronę pokarmowi od śniegu i deszczu. Naturalnie, że tam, gdzie sarny karmią, zające często nawiedzają budki. Szczególniej ma biedę wielką, gdy śniegi spadną, a skorupa zrobi się na wierzchu zmarzniętą, bo wtedy skoki sobie rani i dokopać się nie może do pożywienia. W czasie wielkich zasp zające ruszać się nie mogą i można wtedy zauważyć, że zając ma długą rurę pod śniegiem, jakby jamę, w której siedzi i żyje, bo rura ta odkopana jest przy samej ziemi. Ważny warunek do rozmnażania zająca, to stosunek samców do samic. Chodzi o to, aby był wyrównany. Gdzie bowiem więcej samców, to w czasie parkotów (czas parzenia) samce, które niesłychaną namiętnością się odznaczają, krwawe boje staczają ze sobą i tak niszczą samice, że te zmęczone nie rzadko giną. Jako znakomitą i ulubioną zającom paszę w polach, zalecam gałęzie drzew owocowych, które się przy czyszczeniu tychże zimą odcina i rozrzuca po polach. Szkody od zajęcy są tak małe, że prawie bez znaczenia dla gospodarstwa wiejskiego, może on być psotnikiem w ogrodzie, jako przyjaciel kapusty, no i drzewka owocowe chętnie obgryza. Na to są ogrodzenia, ażeby nie mógł dostać się do ogrodu, a gdy drzewka w polach się znajdują, trzeba je w ten sposób zabezpieczyć, że obkłada się pień do koła na 1½ m. wysokości faszyną i obwiązuje ją, by nie spadła; można także dostać gotowych, specyalnie na ten cel przeznaczonych płotków drucianych. Zając lubi spokój i dlatego woli on siedzieć w dużych łanach, gdzie rzadko jest niepokojony, a już najczulszy ze wszystkiej zwierzyny na gonienie przez psy. Gdy takie gony powtarzają się kilka razy, zając zmienia swój pobyt i ucieka w inne strony bezpowrotnie. Tam gdzie polują z chartami, zajęcy jest mało, mamy więc na to dowód, jak tego nie lubią. Nie rzadko też zając goniony długo przez psy zdycha, dostawszy zapalenia. Choroby zaraźliwe dziesiątkują stan zajęczy, szczególniej zaś objawiają się w latach mokrych. Motylica, biegunka, (czerwonka), choroby płciowe to groźne i nieraz ogromnie wyniszczą zające na całe lata. Młody zając największych ma nieprzyjaciół w sroce i wronie, w bocianie i czworonożnych: lisie, borsuku, łasiczce. Polowaniem reguluje się stan zajęczy, odstrzeliwa się bowiem według preliminarza oznaczoną liczbę. W latach złych wcale nie należy polować. Podczas polowań zimowych z nagonką, zające, które najpierw przychodzą do myśliwego są samce, te zaś, które krótko przed nagonką wybiegają, są samice, do tych też strzelać się nie powinno, aby je zaszanować. Jako dobrą rzecz zaleca się remizy w polach. Zakładanie ich nie przedstawia wielkich kosztów a dają zającom schronienie przed wrogami i niepogodą. Remiza to kawałek pola, który się krzakami zmieszanymi z drzewami, jak sosna, lub świerk, zalesia. Że ta jednak należy już do rozmnażania sztucznego, więc w tym rozdziale obszerniej o niej napiszę. (Dok. nas.)

Spostrzeżenia łowieckie

podał J. MARTYNIEC.

(Co znaczy mieć dobry wiatr przy polowaniu na jelenie, polowanie na jarząbki; polowanie na niedźwiedzie).

Kiedy państwo Nadwórna należało jeszcze do banku kredytowo-ziemskiego w Wiedniu, wolno było każdemu leśniczemu dowolnie na każdą zwierzynę polować, a ponieważ zaliczam się do jakich takich myśliwych, korzystałem z tego przywileju w całej pełni. Chociaż lasy naówczas nie były ani w przybliżeniu tak gęsto, osobliwie przez jelenie zamieszkałe, jak obecnie, pomimo tego w czasie rykowiska można mnie było nie zastać w domu i po dziesięć dni.

Otóż pewnego popołudnia w drugiej połowie września wyszedłem ze strażnikiem na wielką polanę „Rogodzy“, na samym dziale wód leżącą, z której jedna połowa należy do nas, druga zaś do Węgier, środkiem t. j. granicą ciągnie się grzbiet tak, że dopiero wtenczas widać obie strony polany, gdy się wyjdzie na grzbiet — i zastałem na paszy silnego jelenia z łanią. Ponieważ było to na odległość do 300 m. więc na razie nie pozostawało nic innego, jak czekać. Po kilku minutach łania zaczęła uchodzić i wkrótce znikła po stronie węgierskiej — jeleń został jeszcze na miejscu i dopiero po dłuższym czasie poszedł za nią.

Gdy przeszedł już przez grzbiet i tylko jeszcze rogi widać mu było, w największym pędzie puściłem się za nim myśląc, że go może jeszcze zobaczę na strzał po drugiej stronie (chociaż już zagranicą) a gdy byłem już tylko o 30 m. od grzbietu — na zupełnie czystem polu — wyłaniają się naraz rogi, które wprost do mnie się zbliżają. Nie było chwili do namysłu, więc rzuciłem się na ziemię, jednak tak niefortunnie, że sztuciec pozostał z boku i brać go przed siebie już nie było czasu, bo jeleń w całej swej okazałości stał już przedemną, porykując dość często i jeszcze wciąż zbliżając się wolno tak, że przyszedł na 10 m. Widoku tego nigdy nie zapomnę! Tak stał koło, a względnie naprzeciw mnie, najmniej 8 minut — w i a t r b y ł z b o k u, a w i ę c p o m i ę d z y n a m i c i ą g n ą ł. Oczywiście leżałem na ziemi, z głową nieco podniesioną, jak martwy. Wreszcie jeleń zwrócił się w bok, zaryczał i począł się wolno oddalać, ja zaś pomału ręką sztuciec przyciągnąłem, a gdy już był odemnie na 40 kroków, podniosłem się nieznacznie, oparłem lewy łokieć na ziemi i pociągnąłem za cyngiel. Po strzale jeleń bardzo mało zaznaczył, w ten sposób, że się nieco wygiął i lekko pokłusował w kierunku obranym. Będąc pewnym, że dobrze wymierzyłem, tak się zafrasowałem, że w ogniu nie został, iż zapomniałem o drugim strzale. Jeleń tymczasem uszedł do 300 kroków, przystanął, obrócił się do mnie i zaczął się chwiać, poczem tym samym kłusem począł nazad się wracać — chociaż mię widział — i po jakich 50 krokach runął. Jak później skonstatowałem, kula przeszła komorę na wylot, przedziurawiając płuca i tchawicę w samym środku. Strzelałem kulą kal. 14. Był to najsilniejszy jeleń, jakiego w ogóle widziałem, z przepięknym wieńcem o 18-tu końcach i prawie czarnemi grandlami.

* * *

W roku 1873 w połowie września, wyszedłem dodnia z wabikiem na jarząbki do lasu „Lubieniec", który obecnie należy do barona Liebig'a, jako właściciela państwa Sołotwiny.

Przyszedłszy na małą polanę nad potokiem, oparłem się o buk i zacząłem wabić, a w kilka chwil odezwał się jarząbek i burknął, ale na miejscu, t. j. siedział na ziemi, podleciał prostopadle nieco w górę i znowu na to miejsce usiadł, co powtarzał po każdem zawabieniu, a był to najlepszy znak, że ma koło siebie kurę. W takich razach zazwyczaj nie przychodzi prędko, to też trzeba się uzbroić w cierpliwość, wabić w dłuższych odstępach i czekać, aż się kogutkowi zbierze na miłość, lub na chętkę walki z rywalem i zdoła się on od swej samiczki wykręcić!

Oczywiście zdecydowałem się na tę chwilę czekać.

Naraz zobaczyłem w potoku jakieś duże zwierzę, bardzo pomału poruszające się, że zaś było daleko i w gąszczu, nie mogłem rozpoznać co to jest, zauważyłem jednak, że posuwa się ku mnie. Mając kapslówkę nabitą cienkim śrótem, cofnąłem się w tył o jakie 40 kroków, wykręciłem z jednej lufy cienki, a wsypałem gruby śrót i zaledwie wyjąłem stempel, ujrzałem zwierza już prawie na samym kraju polany i poznałem w nim ogromnego rysia samicę, bardzo ładnie cętkowaną. Ponieważ za dość grubym bukiem stałem, nie zobaczyła mnie, przyszła aż na miejsce, skąd poprzednio wabiłem i tam strzeliłem do niej. Rulowała w ogniu, potem jednak zerwawszy się, sunęła wprost na mnie, a uszedłszy jakie 20 kroków, przewróciła się nieżywa. Czy chciała mię po strzale atakować, czy z bolu nie wiedziała, jaki kierunek obrać i szła bezwiednie, tego nie wiem, ale najprawdopodobniej słusznem jest drugie przypuszczenie.

Ponieważ poprzednio użyłem wyrazu, a względnie zdania przy jarząbku, że „i zdoła się od swej samiczki wykręcić", muszę to na doświadczonym fakcie wytłumaczyć. Raz wabiłem jarząbka w grubym lesie świerkowym, w górach, gdzie widać było dość daleko, jarząbek zaraz się odezwał i burknął, a równocześnie i zobaczyłem tę parkę o jakie 100 kroków. Na każde moje zawabienie reagował, burknął i zaczął biedz ku mnie, ale samiczka w tej chwili zabiegała mu drogę, przytuliła się do niego, skubiąc go dziobem po głowie i szyi i potrącała go formalnie w przeciwną stronę. On, zdawało się, ulega jej pieszczotom, czy może i namowom, ale jak tylko zawabiłem, znów podleciał t. j. burknął i począł biedz do mnie, a samiczka znowu mu drogę zabiegła i wstrzymała go. Powtarzało się to najmniej przez pół godziny, aż wreszcie kogutek niewierny nie mógł wytrzymać, przyleciał na 30 kroków i więcej do małżonki swej nie wrócił. Ona jednak musiała się wkrótce pocieszyć, bo już na trzeci dzień znalazłem koło niej drugiego samca, a podczas wabienia powtórzyła się najzupełniej ta sama scena; i tak przy tej jednej samiczce ubiłem 8 samców w odstępach 2 do 3 dniowych. Zawsze troskliwość jej, a jego niestałość była jednakowa, chociaż trudno osądzić a raczej orzec, dlaczego samiec niejako zmuszony bywa przez wabienie do opuszczenia swej pary — czy z niestałości, czy też z chęci bicia się z rywalem?

Takie fakta obserwowałem więcej razy, jednak nie zawsze tak długo nudzi, zwłaszcza gdy jest sam, bo czasem na pierwsze zawabienie, przylatuje, czasem wabi się bardzo dobrze, ale z miejsca się nie rusza; innym razem znów odezwie się raz lub dwa i więcej ani rusz, a często się zdarza, że odezwie się tylko raz lub wcale nie (najczęściej robi to stary kogut, którego już raz ktoś zdurzył, a właściwie przywabił i spłoszył), potem pomaleńku idzie pieszo i raptem pokaże się myśliwemu niespodzianie, ale i w tej chwili zmyka, a strzał w ogóle rzadko kiedy w takim razie się udaje.

Według mego doświadczenia w górach, najlepiej wabią się jarząbki rano, a w czasie deszczu dniem przed nastaniem pogody.

Nie mogę i nie chcę twierdzić, że ryś idzie na wabika, ale jak sobie wytłumaczyć nsstępujące fakta?

Pewnego razu jarząbek zbliżał się pieszo na wabika i w grubym lesie widziałem go dość daleko, kiedy naraz przystanął, naciągnął szyję i odleciał. Widocznem więc było, że czegoś się nastraszył, a że byłem za świerkami dobrze ukryty, więc nie mógł mnie widzieć, począłem więc ostrożnie rozglądać się. Zrazu nic nie spostrzegłem i zawabiłem raz, po chwili drugi raz i zobaczyłsm naraz o jakie 80 kroków rysia, jak posuwa się przyciśnięty do ziemi ku mnie, co chwila w gęstej borowinie przystając. Już nieco ciszej zawabiłem raz i drugi i ryś przyczołgał się na 30 kroków, gdzie został przywitany kulą, którą miałem w jednej lufie, a która rozstrzaskała mu czaszkę. Zupełnie podobne zdarzenie miałem jeszcze 2 razy, przyczem niestety, tylko jednego rysia dostałem, druga ładnie znaczona samica, młoda, uszła postrzelona. W ten sam sposób ubiłem także 2 kuny leśne, które skradały się do mniemanego jarząbka wabiącego i to jedna górą t. j. drzewami, druga ziemią, a nawet do wiewiórki musiałem raz strzelić, która zbarczonego przed chwilą jarząbka dopadła i starała się go zabrać, a że była za daleko, więc drobny śrót ją tylko ranił, porzuciła zatem ptaka, a sama czem rychlej zniknęła.

* * *

Zaraz po rykowisku jeleni, w pierwszych dniach października 1900, chodziłem sam wyszukiwać nowe, przez jelenie na rykowiska obrane miejsca, by wiedzieć, gdzie i którędy stosowne ścieżki podchodowe zakładać. Idąc tak płajem (czapaszem) koło małej, miejscami zarośniętej polanki, usłyszałem jakieś pomrukiwanie, które zdawało się coraz więcej zbliżać. Stanąłem koło pniaka i za kilka chwil ukazała mi się ogromna niedźwiedzica z borsukiem w paszczy, około której mały ($^3/_4$ roku) piastun wesoło podskakiwał. Niedźwiedzica stanęła na środku polany — upewniwszy się poprzednio, czy nie grozi jej skąd jakie niebezpieczeństwo, (a ponieważ stałem pod wiatrem, nie poczuła mnie), położyła borsuka na ziemię, oddaliła się od niego o jakie 5 kroków, położyła się, i mając młode ciągle na oku, leżała najspokojniej, pomrukując widać z zadowolenia, albo może i śmiała się w ten sposób z komicznej gimnastyki swego potomka. Ten bowiem, jak tylko stara wypuściła borsuka z paszczy, w tej chwili zaczął naokoło niego skakać, potem wywrócił przez niego najnaturalniejszego i najzgrabniejszego koziołka, poczem wstał, zaszedł znowu od strony brzucha borsuczego, położył nos na nim i takiego samego koziołka uciął, co powtórzył

najmniej z 40 razy, przyczem, po każdym takim koziołku, pocisnął borsuka zębami za kark i uderzył łapą po głowie. Koziołki i całe zresztą zachowanie się piastuna było tak komiczne, że nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, a dusząc się ciągle, w końcu zmuszony byłem zakaszleć i chociaż to było bardzo po cichu, usłyszała jednak stara, oddalona odemnie o jakie 35 kroków, podniosła się w tej chwili, mruknęła głośno i chwyciwszy borsuka, znikła w gąszczu wraz z piastunem.

Ze względu, że polowanie w tym rewirze jest wydzierżawione przez Jego ces. Wysokość Arcyksięcia Ottona, który niedźwiedzie — pomimo szkody, jakie wyrządzają stanowi jeleni — szanuje, nie zabiłem tej niedźwiedzicy, ani jej potomka.

* * *

Pewnej jesieni chodziłem ze strażnikiem rewidować „słopy" (łapki na niedźwiedzie), a doszedłszy do jednego słopa, pod połoniną „Tanpyszirka" zobaczyliśmy już z daleka, że tenże upadł, chociaż nie można było dostrzedz, by pod nim co leżało, myślałem więc, że za lekko był nastawiony i jakiś ptak go zwalił, siadając na nitkę (opust). Przyszedłszy nieco bliżej, już o jakie 50 kroków, spostrzegłem jakąś czerwoną smugę na ziemi, ciągnącą się aż do słopa na długość co najmniej 5—6 metrów. Gdy doszedłem na miejsce, napadł nas mimowoli pusty śmiech, albowiem poznaliśmy natychmiast, że mysio najadłszy się do syta gogodzów, nieostrożnie wlazł do słopa, który był za twardo nastawiony i nitka dała się naciągnąć tak, że tenże upadł dopiero wtenczas, gdy niedźwiadek większą połowę swej osoby już przesunął przez słop, a że musiał być duży i silny, więc wytrzymał niejako ciężar na sobie o tyle, że nie dał się całkiem do ziemi przytłoczyć i wyciągnął się z pod zabijacza. Musiał biedak uczynić to z tak ogromną forsą, że wszystkie gogodze z niego jak z procy wyleciały i cały czapasz na 5—6 m zabarwiły! Trochę włosów także na zabijaczu pozostało z krzyżów.

* * *

Przy końcu kwietnia 1888 byłem na toczku głuszcza niedaleko granicy węgierskiej, skąd nad ranem usłyszałem jakiś daleki, niewyraźny ryk. Około godziny 8-mej rano wracałem stamtąd do domu, lecz zaintrygowany tym nocnym głosem, zboczyłem z właściwej drogi i poszedłem w kierunku słyszanego ryku, gdzie było także kilka słopów, nastawionych jeszcze w jesieni. Gdym się zbliżał do jednego z nich, przeraził mię prawie raptowny, straszliwy ryk, ogromnego niedźwiedzia, który trzymany był w słopie przez zabijacza tylko za jedną, tylną łapę. Poczuwszy, a później i zobaczywszy mnie, okropnie ryczał — aż las się trząsł — i straszny, imponujący, ale zarazem i nieprzyjemny widok sprawiał swojem daremnem szamotaniem się, z którego wnet go kula wybawiła. Z samego zabijacza leżało masa trzasek a kawał drzewa, służący jako ciężar, grubości około 20 cm. był na 2 części rozgryziony. Był to największy i najpiękniejszy okaz, jaki kiedykolwiek widziałem. Długość skóry wynosiła 2·37 m.

Korespondencye.

Zaborze, 11. września 1901.

Dnia 10 sierpnia b. r., zabiłem pięknego rogacza myłkusa. Rogi, których fotografię załączam są grube, silne, ale nie długie, bo zaledwie 16 cm. dochodzą, są pięknie operlone.



Kozioł był widocznie schorowany, bo bardzo chudy. Stał w krzakach pod łączką na sztych i od jednego strzału z ekspressa w czoło, padł na miejscu.

Zygmunt Łączyński

Kalendarz łowiecki.

Wrzesień.



We wrześniu można według brzmienia ustawy strzelać do wszelkiej zwierzyny z wyjątkiem zajęcy, które jeszcze w tym miesiącu zażywają ochrony, aby tem większe przygotować na listopad i grudzień ofiary.

O ile dochodzą nas sprawozdania, w całym kraju jest tego roku obfitość kuropatw. Przy polowaniach na kuropatwy zaobserwowano także znaczną ilość zajęcy, co obiecuje piękne polowania zimowe.

Obecnie, kto może, dąży w góry posłuchać tak miłego dla ucha myśliwego poryku jelenia i jeżeli św. Hubert poszczęści, dotrzeć do niego na odległość strzału.

Kronika.

Wybranie gniazda orlego w Fünstermünz, w Tyrolu. Polowanie na orła zalicza się do najprzyjemniejszego sportu myśliwskiego, wybranie gniazda młodych i ubicie starych, uważa się w kołach myśliwskich za czyn bohaterski. Do takiego polowania potrzeba nie tylko szczęścia, lecz także sprytu i odwagi, gdyż nieraz myśliwy bywa narażonym na zaciekłą obronę starych.

W Fünstermünz, w Tyrolu, w uroczej dolinie górnego Innu, leśniczy Schatz wypatrzył gniazdo orle. Wziąwszy do pomocy leśniczego Flacha i właściciela hotelu Geigera, udali się na schwytanie młodych i ubicie starych. Gniazdo było na prostopadłej skale, nad przepaścią 150 m. głęboką. Można więc wyobrazić sobie odwagę naszych myśliwych, ze względu na niebezpieczeństwo, na jakie byli narażeni. Samica została celnym strza em zabita, samiec złapał się dwa dni przedtem w żelazo, zdołał jednak pomimo ciężkości łapki, z nią ulecieć. Młodego myśliwi schwytali. Jestto egzemplarz wyjątkowo silny, bo licząc najwyżej sześć tygodni, ma skrzydła 1(4 cm. rozpiętości. Właściciel hotelu umieścił go w osobnym pawilonie przy hotelu. Młody jeniec jest wesół i przy dobrym apetycie i stanowi atrakcyę dla zwiedzających. W gnieździe znaleziono resztki królewskich uczt, w postaci dwuletniej kozicy, świstaków, sarn i t. p.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).



DO SPRZEDANIA

Poszukujemy tropowca na dziki bardzo pewnego, nie goniącego nic prócz dzika. Oferty należy wnosić pod adresem: „Zarząd dóbr Żurawno“. Psa zapłaci się po dokładnem wypróbowaniu.

Do sprzedania wypchany niedzwiedź. Informacyi udzieli Majewski Lwów, Krasickich 9 II. p

PUHACZE zdrowe silne do polowania tresowane sprzedaje dokąd zapas starczy sztukę za 35 koron Stanisław Szmid strzelec. Zaleszczyki.

Zarząd dóbr Bojary, p. Dobrowlany poszukuje legawca w drugim polu, dobrze tresowanego.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.